

Anna Landau–Czajka

Polityka i metoda. Dwie książki o Zagładzie i antysemityzmie : (Jan T. Gross, Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie. Historia moralnej zapaści, Znak, Kraków 2008; Marek Jan Chodakiewicz, Po Zagładzie. Stosunki polsko-żydowskie 1944-1947, przekład Anna Madej, Warszawa 2008)

Przegląd Historyczny 99/2, 304-310

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

cej pozycji w systemie politycznym, w których funkcjonują obecnie, niż alternatywy symbolicznie określane jako opcja „Tirana”, „Prishtina” czy „Tetova” (separacja albańskojęzycznej części Macedonii). Lipski historyk sugeruje, że być może najlepszym sposobem rozwiązania problemu kosowskiego jest powtórzenie tam macedońskiej drogi tworzenia narodu.

ANNA LANDAU–CZAJKA
Polska Akademia Nauk
Instytut Historii

Polityka i metoda. Dwie książki o Zagładzie i antysemityzmie

(Jan T. G r o s s, *Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie. Historia moralnej zapaści*, Znak, Kraków 2008; Marek Jan C h o d a k i e w i c z, *Po Zagładzie. Stosunki polsko-żydowskie 1944–1947*, przekład Anna M a d e j, Warszawa 2008)

Porównawcza prezentacja prac Jana Tomasza G r o s s a i Marka Jana C h o d a k i e w i c z a jest zadaniem karkołomnym, jeśli nie rzec po prostu — niewykonalnym. Bowiern czytelnicy tych książek, a co gorsza, nawet ci, którzy ich w rękę nie mieli, mają już na ich temat wyrobioną opinię, której taki drobiazg, jak recenzja w piśmie naukowym, zmienić nie jest w stanie. Nie idzie tu bowiem ani o prawdę, ani o rzetelność historyczną, ale o dwie rozbieżne wizje Polski i Polaków, które nie wiedzieć czemu mają zależeć od opinii dwóch autorów książek, a nie od tego, co naprawdę się wydarzyło.

Książka Jana Tomasza Grossa jest oskarżeniem, jej zadaniem nie było przedstawienie nowych odkryć historycznych, ale wstrząśnięcie sumieniami — podobnie jak w jego pracy o Jedwabnem. Większość przywołanych faktów nie jest nowa, były znane historykom od dawna, a niektóre — jak na przykład pogrom kielecki — doczekały się już wielu opracowań. Tyle tylko, że same fakty, rozproszone w różnych dokumentach, oraz oparte na nich książki przeznaczone dla ścisłego grona historyków, przechodziły raczej bez echa. „Strach” — zgodnie z zamierzeniami autora — bez echa przejść nie mógł.

Jest to niewątpliwa zaleta pracy, o to przecież autorowi chodziło. Jest to też niewątpliwa jej wada — sądy w dziele, które ma zburzyć dotychczasowe mity i stereotypy, nie mogą być łagodne i wyważone. Jeśli można tak powiedzieć — wszystkie wątpliwości Gross tłumaczy „na niekorzyść oskarżonego”. Każdy atak na Żyda czy osobę pochodzenia żydowskiego jest dla niego jawnym przykładem postawy antysemickiej, choć w istocie po II wojnie światowej zdziwienie i demoralizacja spowodowały brutalizację życia każdego społeczeństwa uwikłanego w ten konflikt. Nie każdy zabity czy poraniony Żyd był ofiarą dlatego, że był Żydem. Ofiarami Polaków padali także Polacy.

Rozdział pierwszy nieco rozczarowuje tym, że nie był pisany dla czytelnika polskiego (co widać na pierwszy rzut oka). Np. tłumaczenie, dlaczego rząd na emigracji zwano londyńskim, sprawia wrażenie traktowania czytelnika jako całkowicie nieświadomego losów Polski w czasie wojny. Oczywiście tego typu wyjaśnienia konieczne były w wydaniu amerykańskim, natomiast błędem i autora i redakcji jest pozostawienie ich w wersji polskiej. Z drugiej strony, co przyznaje sam Gross, błędem była rezygnacja z przetłumaczenia przynajmniej fragmentów rozdziału wstępnego, dotyczącego warunków panujących w Polsce podczas okupacji niemieckiej.

Praca oparta jest na relacjach, licznych i wstrząsających. Nie można w żaden sposób podważyć ich znaczenia jako świadectwa tamtych czasów. Jednak autor, będący nie tylko historykiem, lecz i socjologiem, powinien zdawać sobie sprawę, że relacje składają na ogół osoby, które przeżyły coś dramatycznego, wstrząsającego, wykraczającego poza ramy codzienności. Ci, którzy spokojnie wrócili do swoich domów, witani z ulgą przez sąsiadów, ci którzy zajęli się codzienną pracą, a nie ratowaniem życia — relacji po prostu nie zostawili. Stąd z relacji dowiadujemy się tylko części prawdy, tej najbardziej dramatycznej. Oczywiście, wypowiedzi są potwierdzane przez sprawozdania różnego typu organizacji, partii, są więc warte przeanalizowania i przedstawienia. Ale stanowią tylko część rzeczywistości i bardzo szerokie uogólnienia poczynione na tej podstawie są pewnym naukowym nadużyciem.

Gross większość powojennych zachowań antysemitycznych składa na karb okupacji i mordów dokonywanych podczas niej przez Niemców na Żydach. Polacy mieliby zostać rozuczwaleni przez wojnę, przez łatwość i bezkarność mordowania Żydów. Z tego wysnuwa Gross daleko idący wniosek — antysemityczne powojenne postawy Polaków tłumaczy poczuciem winy z okresu wojny, świadomością, że i Polacy wyrządzali krzywdy swoim żydowskim sąsiadom. A więc strach przed powracającymi Żydami miałby być częściowo pochodną wyrzutów sumienia. „Alergiczna reakcja polskiego społeczeństwa na Żydów ocalonych z Zagłady byłaby bez sensu, gdyby polscy sąsiedzi nie wyrządzili Żydom krzywdy podczas wojny” — pisze autor. Z przykrością muszę stwierdzić, że nie jest to wyjaśnienie wystarczające. Jest natomiast zarówno krzywdzące (nie każdy Polak nie lubiący Żydów musiał być współwinnym Zagładzie...), jak i zbyt usprawiedliwiające — prawda bowiem może być jeszcze bardziej przerażająca. Gross wprawdzie wspomina o przedwojennym antysemityzmie, ale sprawia wrażenie, że nie zdaje sobie sprawy z jego skali. Antysemityzm w Polsce w latach trzydziestych był ogromny — nie mordowano wprawdzie Żydów, ale zdarzały się, i to wcale nierzadko, pobicia i prześladowania. Propaganda antysemityczna, także ze strony Kościoła katolickiego, była tak wszechobecna, że działania hitlerowskie w pewnych środowiskach mogły padać na podatny grunt. Z punktu widzenia przedwojennych antysemitów Niemcy w czasie wojny nie mordowali współobywateli Polaków. Ofiarą padali ludzie gorszego gatunku, „pasożyci”, „czwarty okupant”, „największy wróg odrodzonej Polski”. Trudno się więc dziwić, że „odzydzenie” kraju traktowane było bez specjalnej rozpacz i że część Polaków, żałując czasem nawet Żydów jako ludzi, postrzegała ten proces jako korzystny z punktu widzenia narodu polskiego. Powracający Żydzi mogli więc spotykać się z niechęcią nie tylko dlatego, że odbierali swoje mienie (choć na pewno był to ważny element strachu przed tymi, którzy przeżyli), ale i dlatego, że ich nieobecność w Polsce była uznawana za wartość samą w sobie. Polska bez Żydów jawiła się wielu środowiskom jako lepszy, bezpieczniejszy kraj — skąd więc miałyby się brać radość z widoku powracających sąsiadów?

Podobnym uproszczeniem jest stwierdzenie, że akty terroru wobec Żydów miały „przyzwolenie społeczne”. Jako dowód mają posłużyć reakcje pasażerów pociągu, z którego uprowadzono żydowskiego pasażera, a także przykład przyłączających się do pogromu mieszkańców Parczewa (s. 61). Dwa przykłady, aby uzasadnić powszechne przyzwolenie w całym kraju, to zdecydowanie za mało. I w dodatku już po zaledwie trzech stronach dowiadujemy się, że plany zabicia Żydów w małych miasteczkach były tak powszechnie znane, że wieści o nich docierały też do tych, którzy tego nie popierali i uprzedzali Żydów o grożącym im niebezpieczeństwie. Można zapytać — jak się to ma do „przyzwolenia społecznego”?

Na pewno wadą pracy jest zbyt jednostronne potraktowanie pogromu kieleckiego. Od lat historycy zastanawiają się nad jego przyczynami i interpretacją. Tłumaczenie wszystkiego po prostu antysemityzmem wydaje się zbyt proste i jednostronne. Pytanie, czy pogrom kielecki był, czy też nie był prowokacją, nie jest wprawdzie tak istotne, bowiem ważniejsze jest to, że

prowokacja, oparta na micie o mordzie rytualnym, mogła się w powojennej Polsce udać. Jednak odrzucenie *a priori* możliwości prowokacji wydaje się nieuprawnione — i prawdę mówiąc dla oceny wydarzeń kieleckich nieistotne.

Sporo miejsca poświęca w swej pracy Gross mitowi „żydokomuny”. Słusznie stwierdza, że Żydzi nie stanowili większości w aparacie komunistycznego państwa. I równie słusznie podkreśla, że za winy Żydów–komunistów nie może być odpowiedzialna cała społeczność. Szkoda jednak, że w przypadku polskich społeczności lokalnych, w których dochodziło do mordów na Żydach, autor nie stosuje tej samej zasady...

Wiele wyjaśnień w książce wymagałoby raczej recenzji fachowego psychologa niż historyka. Na s. 43 czytamy: „Z tego, że morderstw na Żydach dokonywano grupowo, nie należy — wnioskować, że można je tłumaczyć, odwołując się do psychologii tłumu, to znaczy udając, że ludzie w nich uczestniczący potracili głowy. Dokładnie na odwrót. Mechanizm tych zbrodni ukazuje, że działano z premedytacją”. Niewątpliwie, bywały zbrodnie z premedytacją, ale choćby wspomniany wcześniej pogrom kielecki to jeden z najbardziej typowych przypadków działania psychologii tłumu, trudno przypuszczać, aby mieszkańcy Kielc, uczestniczący w tych wydarzeniach, zaplanowali je wcześniej. Jest to więc jedno z licznych nieuprawnionych uogólnień.

Zastanawia mnie też kolejne uogólnienie — Żydzi powracający do swoich miejsc zamieszkania, jak twierdzi Gross, spotykali się jedynie z wrogością: „»Wrogość« — to jest kluczowe słowo określające ówczesną sytuację Żydów. Pamiętajmy o atmosferze wrogości, starając się zrozumieć, dlaczego uciekali po wojnie z ojczystego kraju w nieznaną”. Gross wymienia wiele miejsc i wiele faktów dotyczących powojennego prześladowania Żydów. Gdy jednak przyjrzeć im się bliżej, okazuje się, że nie były aż tak masowe, dadzą się jakoś policzyć, nie objęły zasięgiem „całego kraju”. Były może i licznymi, ale nie masowymi epizodami. Nie sposób odmówić prawdy temu twierdzeniu w odniesieniu do wielu Żydów. Nie sposób też oprzeć się refleksji, że jednak wielu Żydów i osób pochodzenia żydowskiego pozostało w Polsce. Dlaczego? Gdyby uznać powyższą opinię za jednoznacznie prawdziwą, to w 1968 r. kampania antysemicka powinna być prowadzona w kraju, w którym nie byłoby już ani jednego Żyda. Sam fakt, że wiele osób nie wyjechało, zostało i prowadziło — przynajmniej do wydarzeń marcowych — całkiem normalne życie, przeczy tak sformułowanej tezie. Problem w tym, że tak jednoznaczne osądy budzą opór czytelnika i w rezultacie niewątpliwym faktem — niechętnie czy nawet wrogo nastawienie części społeczeństwa polskiego do Żydów — jest negowany. Jeśli bowiem nie jest prawdą, że wszyscy Polacy byli wrodozy wobec wszystkich Żydów — to może w ogóle nie było mowy o wrogości?

Sporo miejsca poświęcono antysemickim wybrykom Milicji Obywatelskiej. Dla czytelnika amerykańskiego może jawić się ona jako siła szczególnie wrogo nastawiona do Żydów. Faktem jest jednak, że gdyby przejrzeć polskie pamiętniki z tego okresu, stosunek milicji do Polaków „wrogów władzy ludowej” także nie był zachęcający... Oczywiście, jest tu pewna różnica: szczególnie w małych miejscowościach milicjanci mieli krewnych i znajomych wśród społeczności polskiej, nie mieli ich wśród żydowskiej, co powodowało, że mieli mniejsze skrupuły, jeśli chodziło o bezprawne działania skierowane przeciwko Żydom.

Interesujące i stosunkowo mało znane jest natomiast działanie administracji państwowej — przejmowanie własności żydowskiej, także tej, która miała potencjalnych właścicieli.

Niewątpliwie błędem, albo co gorsza nierzetelnością, jest powoływanie się na pamiętniki „Ognia” — Józefa Kurasia (s. 58). Pamiętniki te, znane wyłącznie z książki Włodzimierza Machajka „Rano przeszedł huragan”, zostały najprawdopodobniej tak przerobione przez resort bezpieczeństwa państwowego, by ukazać ich autora w jak najbardziej niekorzystnym świetle.

Dążenie do stylistycznej błyskotliwości wodzi czasami autora na manowce. Postawę większości episkopatu polskiego wobec pogromu w Kielcach określa jako „teologiczny kanibalizm”. Krytyka postawy biskupów może być słuszna, ale przecież to sformułowanie nic nie znaczy! Gorzej, autor w ten sposób dostarcza tylko argumentów współczesnym przedstawicielom „katoendecji”, którzy twierdzą, że specjalnie postawił sobie za cel obrażenie narodu i Kościoła.

Niestety, tłumaczenie książki na język polski jest dosyć toporne. „Pożoga” (s. 35) to jednak nie to samo co „zagłada” (choć oba te wyrazy stanowią tłumaczenie angielskiego wyrazu „Holocaust”), „opracowanie ma dla nas dodatkową ważność” (s. 35), „jak powiedział autobiograficznie Tadeusz Konwicki” (s. 36), „Kościół jako instytucja obsługująca moralne potrzeby ludności” (s. 41).

Ale te wszystkie uwagi są tylko marginesowe. Faktem jest, że „Strach” Grossa to książka potrzebna, bardzo potrzebna — sądząc z reakcji, jakie wywołała. Przed nią ukazało się wiele innych prac, opisujących choćby pogrom kielecki, i żadna z nich nie wywołała takiej burzliwej dyskusji, nie wstrząsnęła sumieniami, nie spowodowała ogólnokrajowej debaty. Można by więc sądzić, że gdyby autor, kierując się wszystkimi zasadami metody historycznej, napisał pracę w pełni obiektywną, w pełni wyważoną, „letnią” — byłyby to kolejna książka czytana wyłącznie przez specjalistów. Nie doprowadziłaby do ważnej, ogólnokrajowej debaty, nie wprowadziłaby pewnych faktów historycznych do świadomości publicznej. Po okresie walki z książką Grossa, a właściwie z obaleniem mitu o Polakach, jako narodzie nieskażonym żadną przemocą, nadejdzie bowiem moment, gdy nastąpi — podobnie jak w przypadku Jedwabnego — uznanie, że pewne fakty jednak się wydarzyły, że nie sposób ich ukryć ani przemilczeć, trzeba więc o nich szczerze mówić.

Książka Marka J. Chodakiewicza dotyczy tego samego tematu, co praca Grossa. Nie jest to przypadkowa zbieżność. Po amerykańskim wydaniu monografii Grossa Instytut Pamięci Narodowej postanowił wydać w Polsce pracę Chodakiewicza, której pierwsze wydanie ukazało się także w USA po angielsku — miała ona stanowić przeciwwagę dla tez Grossa. Dziwi sam fakt, że IPN zdecydował się na publikację książki tak kontrowersyjnego autora, który w środowisku polskich historyków zajmujących się kwestią żydowską nie jest uznawany za autorytet. Jan Żaryn stwierdził w „Tygodniku Powszechnym”: „Autor »Po Zagładzie« przedstawił autorski pomysł, jak pisać o stosunkach polsko-żydowskich i nie lękać się autocenzorskiej politycznej poprawności”. Oznacza to mówiąc wprost, że autor nie lęka się wypowiedzi antysemitycznych.

Marek J. Chodakiewicz, którego praca reklamowana jest jako „rzetelna” i w przeciwieństwie do Grossa „mająca podstawę w badaniach naukowych” stosuje w pracy jednostronne uogólnienie. Przyznaje wprawdzie, że po wojnie miały miejsce wystąpienia antysemityczne, ale większość zbrodni przeciw Żydom stanowiła pospolite akty bandytyzmu, niemające nic wspólnego z narodowością ofiar. Jednak, w przeciwieństwie do tego, wszystkie zbrodnie komunistów czy pracowników aparatu bezpieczeństwa pochodzenia żydowskiego są traktowane jako zbrodnie żydowskie, skierowane przeciw Polakom, podobnie jak wszystkie napady Żydów na Polaków. W tym wypadku autor nie ma najmniejszych wątpliwości, że narodowość stanowiła element kluczowy.

Czytelnik, biorący tę książkę do ręki, może zostać zaskoczony tezą, jaką stawia Chodakiewicz: owszem, po wojnie zdarzały się wypadki prześladowania Żydów przez Polaków, ale była to faktycznie samoobrona przed narzucanym Polsce ustrojem (to Żydzi walczyli, aby w Polsce wprowadzić ustrój komunistyczny) bądź przed niesłusznymi oskarżeniami o krzywdy, jakich doznali Żydzi z rąk Polaków w czasie okupacji niemieckiej. Wreszcie niektóre na-

paści na Żydów miały przyczyny gospodarcze — Żydzi chcieli odzyskać to, co stracili w czasie wojny, a co znajdowało się w polskich rękach. Zatem trudno, zdaniem autora, uważać Żydów za ofiary — to, co działo się po wojnie, nawet jeśli ofiary były po stronie żydowskiej, to efekt samoobrony społeczeństwa. Szczególnie pierwsza teza wydaje się interesująca — jest to czysta klisza z przedwojennego straszaka „żydokomuny” i „żydowskiego spisku, który ma na celu panowanie nad światem”. Okazuje się, że nawet garstka ocalałych po wojnie Żydów, miała moc tak wielką, że była w stanie zmusić wielomilionowy naród do przyjęcia ustroju, którego ten naród nie chciał. Natomiast punkt ostatni zadziwiająco zbiega się z opinią Grossa. Chodakiewicz pisze z pewnym zrozumieniem o Żydach, którzy nawet nie będąc komunistami, musieli zwracać się do komunistycznych władz z prośbami o pomoc przy odebraniu „własności przywłaszczonej przez Polaków”. Trzeba jednak przyznać — czego nie czyni większość recenzji krytycznie nastawionych do książki — że Chodakiewicz podkreśla, iż często skargi Żydów na Polaków miały rzetelne podstawy. Możemy przeczytać o „słusznych skargach” (s. 126). Autor nie zaprzecza także, że w powojennej Polsce istniał antysemityzm, także w środowiskach tzw. niepodległościowców, co wynikało z przejęcia stereotypu Żyda jako obcego, wroga, „żydokomuny”.

Chodakiewicz przyznaje też, że pewne działania środowisk „niepodległościowców” były skierowane przeciw Żydom. Jeśli bowiem ktoś z rodziny współpracował z komunistami, „niepodległościowcom” nie przychodziło do głowy mścić się na wszystkich osobach tej samej narodowości w okolicy — ani na Polakach, ani na Ukraińcach. Jednak, jeśli współpracował Żyd, prawdopodobieństwo zemsty na wszystkich Żydach było znacząco większe.

Z drugiej strony, wbrew temu co autor pisze w innych miejscach, czytelnik może domniemywać z jego wywodów, że to jednak szczególnie Żydzi byli winni zbrodniom komunistycznym w Polsce i w ogóle byli odpowiedzialni za komunizm. Dowodem są z upodobaniem powtarzane nazwiska żydowskich działaczy, ministrów, oficerów służby bezpieczeństwa. Nazwiska te są czasem prawdziwe, a czasem bardzo, bardzo wątpliwe. Ich podawanie służy wyłącznie celom politycznym, tak jak przytoczenie rzekomego udziału ojca prezydenta Kwaśniewskiego (oczywiście Stolzmana...) w aparacie bezpieczeństwa. Autor zapomina jednak, że w ówczesnym rządzie oprócz trzech czy czterech ministrów pochodzenia żydowskiego, pozostali — to „rdzenni” Polacy. Ich działania nie czynią oczywiście narodu polskiego odpowiedzialnym za zbrodnie — zbiorowa odpowiedzialność odnosi się natomiast do osób pochodzenia żydowskiego. Chodakiewicz tłumaczy to niezwykle prosto — Polacy popierający w sensie etycznym komunizm to już nie są prawdziwi Polacy. Z drugiej jednak strony autor stwierdza, że tylko mniejszą część Żydów stanowili komuniści.

W wielu wypadkach do „ofiary” poszkodowanych przez Żydów zaliczani są także ci, którzy zostali oddani w ręce milicji czy władz bezpieczeństwa za wydawanie Żydów Niemcom w czasie wojny. Czyżby autor uznawał, że każde dochodzenie sprawiedliwości przez Żyda było nieuprawnione?

Zadziwiający jest — choć może i nie zadziwiający — skrupulatny podział społeczeństwa na „Żydów” i „Polaków”, przy czym jedyne kryterium, jakie stosuje autor, to kryterium czysto rasowe. Stosunkowo często pojawiają się zdania, gdzie wymieniona jest tylko narodowość opisywanej postaci „prokurator Żyd” (przy czym co oznacza w tym kontekście „Żyd” czytelnik oczywiście nie wie — czy jest to osoba narodowości żydowskiej, Polak wyznania mołeszowego czy po prostu Polak pochodzenia żydowskiego, będący Żydem jedynie w świetle ustaw norymberskich i opinii antysemitów). Polacy, posiadający jakichkolwiek żydowskich przodków, klasyfikowani są automatycznie jako Żydzi — choćby Stefan Kisielewski. Autor bawi się w poszukiwanie Żydów, zaliczając do nich m. in. Karola Świerczewskiego, Mariana

Spychalskiego, Zygmunta Berlinga — a przecież to, czy faktycznie byli oni, czy nie byli pochodzenia żydowskiego, nic do historii nie wnosi.

O ile autor szczegółowo opisuje akty terroru przeciw Polakom, starając się znaleźć nawet marginesowe i słabo udokumentowane przypadki, to nie jest zupełnie zainteresowany opisem pogromu kieleckiego, czy kilku innych, opisywanych w pracy Grossa. Opisanie ich zmieniłoby bowiem proporcje „strat”. Skoro pogromy nie pasują do przyjętej tezy o „polskich ofiarach”, po prostu zostały pominięte.

Sam tytuł pracy jest mylący. Autor nie opisuje bowiem wcale stosunków polsko-żydowskich, a tylko zajmuje się — bardzo wybiórczo — częścią tych społeczeństw. Polaków w tej książce reprezentuje niemal wyłącznie antykomunistyczne podziemie, do tego stopnia, że nawet działalność Kościoła katolickiego jest w pracy nieobecna.

Wielu autorów recenzji i omówień (Paweł Machciewicz, Grzegorz Motyka, Bożena Szaynok, Dariusz Libionka) wskazuje na wykorzystywanie niewiarygodnych źródeł, na manipulowanie nimi, na to, że nawet w samej pracy te same relacje przedstawiane są niespójnie (sprawa Żydówki Fryzi Baldinger, która denuncjuje Polaka — w jednym miejscu „ofiara” donosu jest najprawdopodobniej niewinna, a już kilkadziesiąt stron dalej okazuje się, że najprawdopodobniej zademonstrowała żydowską rodzinę). Autorowi zarzucono niewykorzystanie nowych opracowań i archiwaliów — w tym nawet „Biuletynu” IPN (bibliografia urywa się na roku 2000 i nie została zaktualizowana, mimo że w XXI w. ukazało się wiele nowych opracowań). W pracy zostały wykorzystane jako wiarygodne opracowania historyczne dzieła takich autorów, jak znani z antysemityzmu Jerzy Robert Nowak czy Henryk Pająk, których bezkrytyczne wykorzystanie właściwie dyskwalifikuje jakąkolwiek rzetelność autora. Można dodać do tego bezkrytyczny stosunek do źródeł. Wykorzystane w pracy wspomnienia Martina Graya „Wszystkim, których kochałem” to powszechnie znany przykład tworzenia mitów na temat własnej przeszłości. Pamiętniki Żydów, którzy po wojnie znaleźli się w USA — też wielokrotnie przywoływane jako egzemplifikacje tez autora — zasługiwałyby na znacznie bardziej krytyczny ogląd. Jest bowiem ogólnie znanym faktem, że po wojnie pojawiały się, szczególnie poza Europą, oskarżenia Żydów o bierność i nieprzeciwstawianie się prześladowcom. Opisywanie własnych, bohaterskich dokonań w walce z antysemitami nie zawsze musiało więc być do końca prawdziwe.

Nie jest to zatem książka rzetelna, jak piszą jej zwolennicy, choć może nie jest aż do tego stopnia antyżydowska, jak można by wnioskować z części recenzji jej przeciwników. Autor pisze bowiem nie tylko o Żydach–komunistach, ale także o tych, którzy pomagali „niepodległościowcom” (składali na ich korzyść zeznania, wykorzystywali swoje kontakty w aparacie władzy itp.).

Książka wydana była pierwotnie w języku angielskim i być może w tym języku była zrozumiała. Jednak tłumaczenie na polski sprawia, że wiele zdań zrozumieć trudno, np.: „Drugim czynnikiem działającym przeciwko Żydom było dobrowolne informowanie przez nich władz, co często przyjmowało formy wyrównywania rachunków z prawdziwymi lub domniemanymi sprawcami czynów antysemickich za pomocą NKWD i UB” (s. 126). Te słowa zresztą — „prawdziwi i domniemani” — pojawiają się niezwykle często, znajdujemy je już na następnej stronie i na wielu, wielu innych.

Zestawienie tych dwóch książek jest właściwie nieuprawnione. W przypadku Grossa mamy bowiem do czynienia z książką naukową, choć budzącą sporo zastrzeżeń. Tymczasem praca Chodakiewicza ma z nauką niewiele wspólnego (wystarczy wspomnieć, że w tabelach statystycznych podliczane są wspólnie fakty ustalone z faktami „prawdopodobnymi” i „rzekomymi”).

Problem polega także na tym, że można mieć wątpliwości, czy poważne czasopismo naukowe, takie jak „Przegląd Historyczny”, jest właściwym miejscem do umieszczenia recenzji z tych dwóch książek. Wbrew pozorom bowiem nie mamy tu do czynienia z dwiema pracami ściśle naukowymi, ale z dwoma esejami, które nie tylko opisują fakty, lecz także — a może nawet przede wszystkim — skupiają się na osądach moralnych. A te wymykają się możliwości rzetelnej oceny. Warto też zwrócić uwagę, że wielka dyskusja wokół „Strachu” (najlepszym dowodem na to, jak ożywiona, jest wydanie książki „Wokół »Strachu«”) koncentruje się raczej nie na analizie i krytyce zebranej dokumentacji, ale właśnie na rozbieżnych opiniach dotyczących oceny społeczeństwa polskiego.

ANDRZEJ CHOJNOWSKI
Uniwersytet Warszawski
Instytut Historyczny

Historyk wśród źródeł

(Na marginesie książki Jerzego Eislera, *Polski rok 1968*, Warszawa 2006)

Jerzy Eisler pierwszą pracę o „wydarzeniach marcowych” opublikował w 1991 roku¹. Zawarł w niej omówienie przebiegu wypadków na wyższych uczelniach, poprzedzone opisem kilku epizodów, charakterystycznych dla atmosfery życia politycznego lat sześćdziesiątych (m.in. List 34, obchody milenijne, list biskupów polskich do episkopatu niemieckiego). W nowej książce jego ambicje sięgają dalej, co zapowiada już sam tytuł. Autor poszerzył znacznie pole obserwacji, przedstawiając spory w aparacie partyjno–państwowym, relacje między władzą a środowiskami inteligencji naukowej i artystycznej, postawę instytucji i grup związanych z Kościołem katolickim itp. W odróżnieniu od poprzedniej rozprawy, w której zajęcia studenckie pokazane zostały z perspektywy Warszawy, Eisler zrelacjonował tym razem sytuację w pozostałych ośrodkach akademickich. Ważne jest, że ukazał też międzynarodowy kontekst polskiego Marca. Szkoda jednak, że dopuścił się przy tym uproszczeń i błędów.

Błędy te są liczne; tu wymienię tylko jeden, ważny dla rozgrywającego się w Polsce dramatu. Jerzy Eisler twierdzi bowiem, że Mosze Dajan „pochodził — jak wiadomo — z Polski” (s. 113). Tymczasem „ulubiony” bohater propagandy marcowej urodził się w 1915 r. w kibucu Degania (jego rodzice przed przybyciem do Palestyny zamieszkiwali w obwodzie czerkaskim na Ukrainie). Czy możliwe więc, by Jan Górecki² mógł przedstawiać Dajana jako swego byłego „podwładnego w Wojsku Polskim”? (s. 470). Albo Górecki konfabulował, albo wypowiedź ta została zmyślona przez informatorów Służby Bezpieczeństwa, co powinno skłaniać Eislera do ostrożności w korzystaniu z cytowanego źródła³.

¹ J. Eisler, *Marzec 1968. Geneza, przebieg, konsekwencje*, Warszawa 1991.

² Jan Górecki był w 1968 r. dyrektorem generalnym w Ministerstwie Finansów. Jego syn Wiktor należał do środowiska określanego mianem „komandosów”.

³ Jest nim materiał MSW pt. „Wykaz osób, które w wypowiedziach się wrogo w związku z konfliktem na Bliskim Wschodzie” (w zbiorach IPN).